10 i następ.

# CEIRIM

PISMO MŁODYCH RUCHU AGUDAT HANOAR HAIWRI „AKIBA"

**ROK 6** **TOM II** **NR. 9**

21 Adar 5696 **KRAKÓW—LWÓW—WARSZAWA** 15 Marzec 1936

ABONAMENT MIESIĘCZNY ZŁ. 0.30 CENA EGZEMPLARZA 20 GR.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KRAKÓW, Wielopole 24 — Tel. 144-58.



**Krzak pustyni**

SAUL CZERNICHOWSKI

# ZDOBYWCOM GÓR JUDZKICH!

Zdobywcy judejskiej ziemi,
Błądzący wśród dzikich gór,
Spójrzcie w błękitny bezkres —
O bracie — na ten mur
Ruin prastarych — a wszak
Twierdz to ruiny, a z niemi
Zwaliska Betaru — czyż tak? —

Oracze Szefejli, Emeku,
Tnący ziemię na skiby w dolinach,
Pracujcie, orajcie głęboko.
Czyście się kędyś natknęli
Na stal prastarą — czyż tak?
Na miecz judzki, ukryty w ziemi,
Miecz judzki, Bar-Kochby znak? —

NI TO LEGENDA:

# CHALUCIM NAAWOR

1.

Przyszliśmy, pełni zapału i wiary. Wierzyliśmy, jak wierzyć może człowiek, któremu nic innego nie pozostało — i walczyliśmy. Zdobywaliśmy naszą własną ojczyznę. — Czyż istnieć może większy paradoks? — Ojczyzna przywitała nas tak, jak się wita bohaterów. Westchnęła spiekłym chamsinem, sypnęła w twarz lotnymi piaskami pustyni i spoczęła w bezruchu bagna malarycznego. Mijały lata, narastały pokolenia, czekające na Erec, a ona odradzająca się kładła się przed nami w poświacie księżycowych nocy, w poszumie złocistych łanów Emeku i pogwarze dziecięcym nowego Izraela.

Śmiało powiedzieć mogliśmy: Spełniliśmy przykazanie: Pionierami będziecie przed narodem całym. My — młodzież.

Nie zawiedliśmy nadziej pokładanych w nas przez siebie samych — nie było nikogo prócz nas — i własnym znojem zaoraliśmy ziemię — nie było jeszcze traktorów.

2.

A za nami szedł naród. Z początku nielicznie, wahając się jakgdyby, czy to właśnie jego droga właściwa, czy my — pionierzy nie błąkamy jeszcze po wertepach. Zbyt mądry był naród tułaczy, by rzucić się naopak we wir walki, dla samej walki litylko. Rozwagą nabrzmiał od lat nieprzespanych, już wierzył nieopatrznie — i wiara na złe zawsze mu wychodziła. I czekał.

Zaszumiał kraj młodzieńczymi głosami i szelestem kłosów, a echo rozniosło po świecie: Trud przyniósł plony! Z niedowierzaniem przybyli do kraju pierwsi z narodu, ci, którzy już nic do stracenia nie mieli. Rozglądnęli się po kraju i uwierzyli również, wiedzeni tęsknotą do ciepła ojczyzny. Zostali. Porwani pracą młodszych — starszych od siebie — ruszyli zgodnym rytmem do walki o byt.

Bajka zamienia się w ciało. Rzeczywistość sama dopomogła wierze. Ba, przerosła bajkę. Kraj z przytułku jedynie stał się bogatą ojczyzną.

Pękły zapory niewiary. Ci, co nie poszli z konieczności — grunt im się palił pod nogami Nürnbergiem, Przytykiem, czy Lwowem — poszli w pogoni za złotem. Złoto chcieli zbierać garściami.

Nie stało mądrego Jozuy, któryby nakazał pokoleniom, co już ziemię ojczystą zdobyły, pójść walczyć o dobro narodu całego. Zdobywcy — którzy przyszli do gotowego, nie poszli do walki o nowe.

Korzyści płynęły — nie walka.

3.

I znowu nam przyjdzie rozpocząć od nowa. Lecz trudy czekają nas stokroć gorsze. Już nie niewiary i rozwagi wał przyjdzie nam rozbijać, ale pewności basztę. Egoizm, który przeciwko dobrej woli stanął.

Któż to wymyślił kraj mlekiem i miodem płynący? Nie chcemy kraju takiego! My chcemy znoju i potu własnego owoców. Nic to, że kraj spłynął już miodem w Emeku, nic to, że setką tysięcy rozszumiał Tel Awiw, że winem zapełniły się prasy w Riszonie. Kraju nie mamy. My kraj przyszliśmy zdobywać, jędrną ziemię — nie czarną, lecz spiekłą w czerwień od słońca — a nie pomyślności bałwany stawiać.

Jehoszuy nie ma w narodzie — chalucim jednak zostali.

. . . Szimszon.

# N E G E W

Żydowska Palestyna ogranicza się właściwie do zwartych obrazów w Szaronie, Emeku, trochę w Galilu, Jehudzie i Szomronie. Na całym południowym obszarze Palestyny niema wyjąwszy małe osiedle żydowskie Ruchama, posiadłości żydowskich. Narzekamy wciąż, że Palestyna jest mała, nie pomieści całego narodu, a pozostawiamy wolne tak wielkie obszary ziemi nieuprawianej. Powody są jasne: W wysuszoną ziemię południowej Palestyny, zwanej Negew (Południe) trzeba włożyć więcej trudu i pracy, aniżeli w urodzajne ugory Szaronu, czy Emeku. Na dłuższą jednak metę nie wolno nam takiego stanu utrzymać. Zbyt mały jest nasz kraj i zbyt wiele kosztuje nas odzyskanie go, by pozostawić odłogiem wielkie zasoby ziemne Negew.

Negew jest krainą rzadko osiedloną. Nieurodzajna ziemia sprawiła to, że przez wieki całe Negew spustoszał zupełnie, bez mieszkańców i dostatecznej opieki. Urodzajne niegdyś Beer Szewa, Miasto Siedmiu Studni, słynne ze swych pastwisk, zamieniło się w małe, nic nie znaczące miasteczko. Krajobraz przedstawia od zachodu ku wschodowi puste wydmy piasczyste, łyse skaliste góry i zachodzące aż do wnętrza kraju diuny pustyni Jehuda. Gdzieniegdzie natrafia się jedynie na samotne szczepy koczowniczych Beduinów, zamieszkujących albo czarne namioty pustynne — tylko bogatsi — lub też wsie, zbudowane z plecionych mat. Nic nie



zamionuje, że niedaleko, bo tuż za progiem szumi stupięćdziesięciotysięczny Tel-Awiw, a cywilizacja posunęła się o kilka tysięcy lat naprzód. Wszystko idzie swoim torem.

A jednak Negew posiada swoje znaczenie. Przedewszystkiem musi się spowrotem stać glebą urodzajną, co przy dzisiejszym stanie techniki nie będzie rzeczą znacznie trudniejszą od meljoracji Emeku czy Hule. Szybko rozwijające się miasta palestyńskie wymagają równie szybkiego rozwoju wsi palestyńskiej, zaplecza miast. Z tego też powodu musimy wykorzystać każdy obszar, mogący służyć ku temu.

Zadanie spożytkowania Negew dla celów kolonizacji żydowskiej spoczywa na Keren Kajemecie. Jedynie K. K. L. może, nie bacząc na marne zyski, zabrać się do wielkiego dzieła.

# ŚWIĘTE MIASTO POŁUDNIA

Cztery święte miasta miał stary jiszuw: Na północy Safed i Tyberjada, w sercu kraju — Jerozolima, samego południa zaś strzegł Chewron.

Ostatnie wieki — to epoka rozkwitu Chewronu, to czasy, gdy tutejsza gmina żydowska słynęła, jako wielka. Do wojny światowej jeszcze liczył Chewron 2.000 mieszkańców żydowskich. Kwitła tu nauka, na wysokim poziomie stały uczelnie, uczeni w Torze spędzali tu długie lata, a niezliczone rzesze młodych bachurim ciągnęły do wielkiej jesziwy „Kneset Izrael", czerpiąc z niej światło wiedzy.

Chewron był ośrodkiem nauk judaistycznych, ogniskiem, w którem ześrodkowywały się prądy religijno-naukowe świata żydowskiego i stąd promieniował duch kultury żydowskiej nietylko na jiszuw, ale na ziemie Bliskiego Wschodu.

Aż przyszły burze dziejowe. Najpierw wojna światowa, a z nią śmieć i zniszczenie. Całe masy Żydów uciekają ze „świętego miasta", wielkie uczelnie podupadają, powoli zamiera życie. Jednak nie wojna światowa zabiła gminę żydowską w Chewronie.

Uczynił to krwawy rok 1929.

Rozjuszone tłumy arabskie grasowały po kraju.

Nie zdołał się Chewron obronić przed rzezią i pożogą.

W roku tym straciło miasto 500 Żydów. Wśród ofiar krwawego najazdu padło 150 uczniów wielkiej jesziwy, a spośród 130 uczonych miasta — zginęło 67. Gmina podupadła — właściwie wywędrowała z miasta, i przestała istnieć w Chewronie.

Czyniono potem kilkakrotne próby odnowienia gminy, stworzenia podstaw pod życie żydowskie — lecz jak dotychczas — bez skutku.

Dziś Chewron — to rana na ciele jiszuwu. Bo pomyśleć na ośmnaście tysięcy Arabów, liczba Żydów w Chewronie zaledwie dochodzi d w u s t u.

Trudno w to wierzyć.

Chewron jest bowiem jednem z miast silnie związanych z naszą przeszłością. Od czasów prahistorycznych, poprzez okres niepodległości państwa, a potem przez długie wieki wygnania — odgrywał wcale poważną rolę w życiu narodu. Ileż legend związanych jest ze starem miastem, ile faktów historycznych wiąże się z „Kirjat Arba" *).

Przez tyle wieków żydowskiem miastem był Chewron — jakżeż więc może dziś obce nowemu jiszuwowi pozostać?

# P I O N I E R Z Y

Przed nami — mapa Palestyny. Mapa — kolorowana. Wydawnictwo — Keren Kajemet Leisrael.

Wszystkie ziemie wyzwolone oznaczone błękitną siatką. Zdaleka już rzuca się w oczy posiadłość żydowska. Od północy zygzakiem biegnie linja — nierównomierny pas ziemi żydowskiej. Wzdłuż brzegu się wije, na wschód się wychyla i urywa. Jeszcze kilka oddzielnie leżących kolonij i — koniec.

Przed oczyma pozostał szmat ziemi. Mapa w tem miejscu gra barwami między żółtą a brunatną.

Czytamy — wzniesienia, wzgórza. Domyślamy się — piaski, nieużytki.

Tylko na pograniczu między niziną nadbrzeżną a wzniesieniem Jehudy widnieje niewielka siatka błękitna.

Jest kolonja żydowska!

Ruchama. Samotna, daleka od jiszuwu, oddalona od ostatniego kompleksu ziemi wyzwolonej.

Sama jedna w pustyni. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

. . Patrzymy na mapę, a błękitna siatka na tle żółtej przestrzeni odżywa w naszych oczach. Już widać crify na niej, już słychać traktory, już widnieją budynki, pola uprawne, pardesy bogate.

Prawdziwa, żydowska kolonja na wielkim obszarze opuszczonej ziemi.

Pionierem jest w tej krainie.

---

*) Dawna nazwa Chewronu.

## ZAKWITŁY KAKTUSY I POMARAŃCZE





# TU SIĘ KOŃCZY EREC IZRAEL

Godłem miasta — studnia.

Studnia — symbol dobrobytu. Woda niesie życie, urodzaj.

W istocie bogatem było kiedyś miasto. Szczególnym zaś skarbem była woda. Miasta palestyńskie zawsze cierpiały na brak wody, a szczególnie na wielkim obszarze Midbar Jehuda próżno jej szukać było. Tylko jedna Beer Szewa bogactwem wody górowała nad krajem.

Świadczą o tem liczne legendy. Mówią o siedmiu studniach, przy których powstać miało miasto, jak oaza przy źródle na pustyni.

Sam Tnach inaczej tłumaczy nazwę miasta. Beer Szewa — to studnia, przy której przysięgał Abraham. Patrjarcha wędrownego plemienia musiał zjednywać sobie królów, wodzów, władców, napotykanych po drodze. I Abimelecha zjednać trzeba było. Wodzowie łatwoby do zgody byli doszli, lecz spór wyniknął między poddanymi.

O co? O wodę.

Dwaj wodzowie porozumieli się. Przymierze zostało zawarte. Trzeba je było tylko wzmocnić przysięgą.

Przy studni zaprzysiągł Abraham przyjaźń Abimelechowi. Wtedy właśnie powstała nazwa miasta, która przetrwać miała tysiąclecia.

Nazwa została po dziś dzień. Szczątki studni można dziś jeszcze oglądać.

Tylko wody już zabrakło i niema urodzaju, niema życia, ani dobrobytu. Jest wioska zaledwie, która ze względu na tradycję pewnie nazwę miasta nosi.

Ubogie osiedle na pograniczu.

Do tej granicznej wsi nie dotarł jeszcze ożywczy prąd z nowego jiszuwu żydowskiego.

Jeszcze żyją tu minione lata, jeszcze ruina ma tu swe siedlisko.

Towa.

# 1920 — 1936

Siłaczy nam trzeba.

To nie o siłę pięści chodzi.

Wszak Trumpeldor jedną — lewą tylko pięść posiadał — i ile w niej siły być mogło?

A był siłaczem.

Bo mówiła przezeń siła ducha. Mówił przez niego upór niezłomny i niegasnący zapał. Taka siła, co jeden tylko zna rozkaz:

Taka moc, co korzenie każe zapuszczać w ziemię i oddać się jej bez reszty. Taki hart, co po sto razy każe zaczynać od nowa, choć zły żywioł niszczyć będzie dzieło bezustannie.

Tu zostać masz nazawsze

Tu tworzyć masz do końca.

Takich siłaczy nam trzeba.

Ale tacy właśnie giną młodo...

A jednak o takich walczyć będziemy i takich tworzyć wśród nas. Bo bez nich nie będzie ziemi wyzwolonej, ni odrodzonego kraju, ani narodu uzdrowionego.

W rocznicę smutnej, a wielkiej śmierci Josejfa Trumpeldora, gdy ból rwie serce, że młodo tak giną siłacze, jedno pragnienie gorące nas ożywia:

Trzeba nam siłaczy — mocarzy ducha.

# PODMUCHY WIOSNY

Jest poniedziałek wieczór. Liczymy dni do nadejścia soboty, a z nią godziny skautingu.

Myślicie zapewne, że my lenie, „abo co", ale się setnie mylicie. Chcecie się przekonać? Bądźcie na naszym skautingu.

Prowadzi go przecież Nachum. Nachuma pewnie znacie. Dużo „gada, gada, gada". Ale go lubimy.

Nachum to surowy kierownik. Karze za byleco. Co chwilę słychać podniesiony głos: „Chana, wyjdź z szeregu, Rega — cicho, bo... i tak bez końca. Przyznamy się jednak, że jedyną naszą rozrywką i największą jest wycieczka z Nachumem.

Tutaj mamy zupełną swobodę.

Idziemy do lasu. Cicho, tylko śpiew odbija się od drzewa. Szukamy miejsca na rozbicie obozu. Jest! — doskonałe miejsce pod obóz.

Podzieliliśmy się na dwa obozy. Chewra rozbiegła się do lasu. Wszyscy czekają na hasło rozpoczęcia.

Nachum jest w naszej grupie. Zastanawiamy się, jaką by tu „grandę" urządzić. Jest! I za chwilę Nachum siedzi na sośnie.

Wszyscy szukają kierownika zabawy. Nachum, gdzieś ty? A echo odpowiada: Gdzie?

I nic. Wpadł, jak kamień we wodę. A bez niego ani rusz.

Gdy wtem trzask, szum — z drzewa wpada między nas Nachum.

Ze śpiewem wracamy do domu. Godzina skautingu minęła. Szkoda.

Kwuca „Atid" Błażowa.

RUDYARD KIPLING

# GARM ZAKŁADNIK

(dokończenie)

Mój szef wrócił opalony życiem na otwartem powietrzu i klnący na upał w dolinach. Tego samego popołudnia nas troje i Kadir Buksh zaczęliśmy się pakować na nasz miesięczny urlop, Wisuska wchodząc i wychodząc dwadzieścia razy na minutę ze skórzanej walizy, Garm szczerząc zęby i bijąc ogonem o podłogę. Wisuska znała podróżowanie, jak pracę biurową. Jechała na stację, mrucząc sobie na przedniem siedzeniu bryczki, a Garm siedział ze mną. Popędziła do wagonu, widziała jak Kadir Buksh przygotowywał mi posłanie na noc, wypiła swą wodę i zwinęła się na platformie. Garm poszedł za nią. Tłum ustąpił mu miejsca. Usiadł z błyszczącemi oczyma.

Za Kalką droga wiła się już w górach. Wynajęliśmy dwukołówkę zaprzężoną w pony, które zmienialiśmy co 6 mil. Nikomu nie śniło się wtedy o kolei do Simli. Droga miała więcej niż 50 mil, a szybkość była taka, jaką tylko pony mogły osiągnąć. Wisuska prowadziła tu Garma od wozu do wozu. Wskakiwała na tylne siedzenia i szczekała. Zimny wiew od śniegów spotkał nas pięć mil za Kalką. Jęczała, by dać jej płaszczyk, rozsądnie obawiając się zaziębienia. Kazałem też zrobić płaszcz dla Garma i gdy dojeżdżaliśmy do sfery zimnego powietrza, ubrałem go, a pies niezrozumiale zastanawiał się nad tem. Zdaje mi się, że był za to wdzięczny.

— Hi-yi-yi-yi — śpiewała Wisuska, gdyśmy brali zakręty. — Tut-tut-tut — brzmiała trąbka woźnicy na niebezpiecznych miejscach. — Jau-yau-yau — szczekał Garm. Kadir siedział na przedniem siedzeniu i uśmiechał się. Nawet on był zadowolony, że oddala się od upału dolin, które dusiły się w oparach za nami. Czasem spotykaliśmy człowieka wracającego do pracy. Pytał:

— Jak tam w dole?

Odkrzykiwałem mu:

— Goręcej niż w piecu! A jak tam w górze?

Odpowiadał:

— Wspaniale! —I ruszaliśmy dalej.

Nagle Kadir Buksh rzekł przez ramię:

— To Solon. — A Garm chrapnął, nie ruszając głowy z mych kolan. Solon, to niemiła mała wioska, ale chłodna i zdrowa. Jest burzliwa i przewiewna. Zwykle się tam zatrzymuje w domu odpoczynkowym, by coś zjeść. Wysiadłem i wziąłem z sobą oba psy, a Kadir robił herbatę. Jakiś żołnierz powiedział nam, że Stanley jest „ot, tam!" i wskazał głową na puste wzgórze.

Gdy wspinaliśmy się na górę, zoczyliśmy jak Stanley, który zadał mi tyle trudu, siedział na skale, z twarzą w rękach, otulony w płaszcz. Nigdy nie widziałem czegoś więcej samotnego, więcej przygnębionego od tego małego człowieka, skurczonego i zamyślonego na tle wielkich, szarych gór.

Garm opuścił mnie. Odbiegł bez słowa! O ile mogłem widzieć, nie poruszając nogami. Płynął przez powietrze. Widziałem, jak rzucił się na Stanleya, zwalając go poprostu. Toczyli się po ziemi, krzycząc i wyjąc i ściskając się. Nie mogłem się zorjentować, który z nich jest człowiekiem, który psem — póki Stanley nie wstał i nie zaszlochał.

Powiedział mi, że cierpi na febrę i że jest bardzo osłabiony. Wyglądał jak mówił, ale gdy patrzałem nań, widziałem jak człowiek i pies wracali do swych naturalnych wielkości — jak suszone jabłka, które pęcznieją w wodzie. Garm był na jego ramieniu, piersiach, nogach — wszędzie równocześnie, tak, że Stanley mówił

poprzez Garma, szlochającego i śliniącego się. Nie mówił nic zrozumiałego, chyba to, że wyobrażał sobie, że wnet umrze, ale teraz czuje się zupełnie dobrze i że już nikomu więcej nie odda Garma w obliczu samych piekieł nawet!

Potem powiedział, że jest głodny i spragniony i szczęśliwy.

Udaliśmy się na herbatę do domu odpoczynkowego, gdzie Stanley napychał się sardynkami, konfiturami piwem, pieczenią, marynatami w chwilach, gdy Garm nie wspinał się po nim. Potem odjechałem z Wisuską.

Garm odrazu zorjentował się. Powiedział mi „dowidzenia" trzy razy, podając mi obie łapy i skacząc mi na piersi. Potem odprowadził nas, śpiewając hosanny na cały głos, całą milę! A potem popędził do swego pana...

Wisuska nie otworzyła mordki. Ale gdy zimny zmierzch nadszedł i ujrzeliśmy w dali światła Simli, obwąchała mój płaszcz. Rozpiąłem go. Wpakowała się do środka. Potem parsknęła zadowolona i zasnęła z głową na mych piersiach, i spała, aż wysiedliśmy w Simli — dwoje z czworga najszczęśliwszych na całym świecie owej nocy.

## Na fali czasu

Coraz bardziej ożywioną działalność rozwijają koła endeckie. Wykorzystując ciemnotę ludu podżegają przeciw Żydom. Nastrój w małych miasteczkach jest już niedozniesienia. W każdej chwili grozi wybuch rozruchów. Doszło już do nich —

W PRZYTYKU,

gdzie podburzony tłum rzucił się na mieszkania żydowskie, demolując je doszczętnie. Dwie osoby zostały zabite. Władza interwenjowała mimo wezwania dopiero po rozruchach. Lecz na tem nie ogranicza się działalność bohaterów od petardy. Terroryzują ludność, by nie kupowała u Żydów. Wiele rodzin żydowskich udaje się do większych miast, straciwszy podstawy bytu w miasteczkach rodzinnych.

W Warszawie odbył się 11 marca

ZJAZD GMIN ŻYDOWSKICH

Zjazd ten miał na celu protest przeciwko zakazowi uboju rytualnego i wyznaczyć komisję do walki z nim. Przemawiali czołowi przywódcy Żydów polskich. Opisali oni tragiczne położenie Żydów i odwoływali się do rządu polskiego, by zachował tradycję Polski, jako państwa tolerancyjnego.

Zjazd uchwalił na znak protestu zamknąć wszystkie sklepy żydowskie na przeciąg dnia i przeprowadzić miesiąc bezmięsny.

# O RADOŚCI

(Na marginesie J. Korczaka: Bankructwo małego Dżeka)

Korczak — to przyjaciel dzieci. Dzieła jego przeznaczone są dla dzieci — to znaczy dla ludzi o czystej myśli i czystej duszy. Jest bardzo płodnym pisarzem i chętnie czytamy wszystkie powieści, ale najbliższą jest nam chyba „Bankructwo małego Dżeka". Bohaterem jej dziesięcioletni Dżek. Choć Dżek jest bardzo młody, to jednak mądry jest i dużo wie. Wie naprzykład, że lalka, mała, niepozorna laleczka, darowana siostrze na gwiazdkę, może sprawić wielką radość. A przecież tak mało jej jest w życiu! Wie także, że trąbka, czy konik może przynieść wesele i śmiech, prawdziwy śmiech. O! Bo mały jest Dżek, ale widział już niejedno. Widział głód — brak chleba i zimno, wielkie zimno. Nędzę... Ale oto Dżek chce zaradzić, musi zaradzić! Chce przynieść dużo radości, wywołać dużo śmiechu.

Zakłada sklepik, którego dochód jest przeznaczony na zakupno lalek, trąbek i koników.

Cóż, kiedy prócz dobrej woli — nie ma niczego w zapasie, a tu się piętrzą przeszkody: Zaczyna się wszystko od niechęci kolegów, a raczej braku zrozumienia. W końcu — przecież nie było doświadczenia! I Dżek... bankrutuje.

Ale nietylko „ludzie dojrzali" mają silną wolę, wytrwałość i ukochanie celu. Korczak, a raczej jego bohater, jest dzieckiem, a jednak Dżek nietylko nie rezygnuje — on nawet nie wątpi. On wie, że cel jego jest słuszny, ba, święty. I Dżek zwyciężył. Dżek przyniósł lalkę siostrze i bęben koledze. Dżek sprawił, że w wielu mieszkaniach było ciepło, wesoło i jasno.

Nie śmiejcie się z Dżeka! Nie mówcie, że cel jego był dziecinny, bliski i przyziemny. Pomyślcie tylko, że ten mały sklepik, to minjaturowe „przedsiębiorstwo" przyniosło radość i śmiech wielu ludziom.

Korczak jest tylko dla młodych. Prosty jest jego styl, bezpośrednia forma. „Dziecinny" — powidzą ludzie starsi, którzy już wszystko wiedzą, wszystko przeżyli i wszystko znają — prócz prostej radości i szczerego śmiechu. Dla nich Korczak naprawdę jest naiwny.

Ale my, którzy tak prosto patrzymy na życie i radości w niem szukamy i śmiać się chcemy serdecznie, rozumiemy i kochamy Korczaka, a Dżek jest nam bardzo bliski.

Bo i my wierzymy tak, jak mały Dżek. Sara z Szaronu.

## Płonie ognisko

CO MÓWIĄ NAJMŁODSZE ŁAZIKI?

# WSZYSTKO PRZEZ WIATR...

W niedzielę odbywają się u nas chugi skautowe.

Na ostatnim naszym chugu kartografji, ktoś szeptem podał genjalny pomysł: „Wanderka". Na palcach wyszliśmy z lokalu, gdyż inne chugi już się były rozpoczęły. Już jesteśmy na ulicy — już za miastem. ....

Na wolnem powietrzu inaczej pracują nasze mózgownice, w innym kierunku idą myśli. I jakby na nas wszystkich cudowny wiatr zawiał, zawołaliśmy: „Wiecie co? Zrobimy grandę!

Projekt padł równocześnie. To też razem ułożyliśmy plan.

A wszystko to przez ten wiatr, co płynął od łąk. Taka w nim jest siła. A księżyc znów oblał nas bladem, lecz pięknem światłem i patrzył na nas, myśląc zapewnie: Czy też poznam ich kiedyś w Erec? A gwiazdy mrugały z niedowierzaniem: „I z tego będą chalucim?"

— A więc, jak urządzamy tę grandę?

Chwila głębszego zastanowienia i oto jest odpowiedź:

— Poślemy kogoś do lokalu. Powiadomimy kierowników chugów, że napadli nas ulicznicy. Że biją w niemożliwy sposób. Kierownicy zaalarmują swych ludzi. W parę minut poślemy drugiego. Bez palta, z rozczochranymi włosami, z przerażoną miną. Rola uciekiniera. Dowód rzeczowy na alarm pierwszego.

Tak też zrobiliśmy.

Nie minęło pół godziny (a trzeba wiedzieć, że z lokalu do nas był spory kawał drogi), a już ukazały się zdaleka migające światełka lampek elektrycznych.

— To nasi — szeptem mówimy do siebie.

I zaczęliśmy się naradzać, kto jaką rolę będzie odgrywał.

Ja kulawego. Ja zemdlonego. Ja znów będę jęczał, że mi zęby wybito.

— O wiele przyjemniej tak, — myślę sobie — niż grać jakąś rolę na scenie.

Aniśmy się spostrzegli, a już byli w odległości kilkunastu kroków. Zajęliśmy pośpiesznie nasze posterunki i tak też szybko powtarzaliśmy jęki i sceny omdlenia.

Już są. I wnet „chug pierwszej pomocy" odbywa swą praktykę na nas „chorych i pobitych".

Dużośmy skorzystali z tej grandy, o, bardzo dużo!

To była taka próba, do której się nikt nie przygotował, choć okazał się przygotowanym. Odkrywa w nas przywiązanie człowieka

do człowieka. Bo w „groźnej” dla nas chwili cały gdud był na nogach i bez wahania podjął się naszej obrony, choćby ze szkodą dla siebie.

Daliśmy dowód, że w poważnych chwilach umiemy już być odpowiedzialni. Zalmek B. — Neszer Tarnów.

# Kolumna techniki

## TOMASZ ALVA EDISON

(dokończenie)

Życie tymczasem staje się coraz twardsze. Traci posadę za posadą — i tuła się bezrobotny. Wśród tej tułaczki natknął się na baterje elektryczne, przechowywane w komorze, która była mu domem.

Nastał tymczasem rok 1869, nacechowany szalonemi wahaniami giełdowemi. Dla sprawnego informowania swych klientów o zmianach, zakładały poszczególne kantory aparaty telegraficzne. Edison zdołał w ciągu kilku dni udoskonalić aparat doktora Lauosa i wspólnie opatentowali swój wynalazek. Było to pierwsze powodzenie w życiu Edisona. Za pieniądze uzyskane założył warsztaty, w których pracuje nad udoskonaleniem aparatu. Pobija rekord — 300 słów na minutę między Filadelfją, a New Yorkiem.

Potem znów przeniósł się do pracy nad telefonem. I tu rozpoczyna się sława.

Jesienią 1878 roku naszkicował sobie taki plan: krążek umocowany na osi i korba do ręcznego kręcenia. Do tego skolei przylegała tuba, z membraną pergaminową i igiełką przymocowaną pośrodku. Gdy przyrząd był gotowy, Edison ułożył arkusz staniolu i zaśpiewał mocnym głosem:

„Mary miała małą kózkę”.

Kiedy przesunął membranę do poprzedniego punktu i pokręcił korbą, przyrząd powtórzył wyraźnie jego słowa. W warsztatach zapanowało ożywienie. Całą noc pracowano nad udoskonaleniem szczegółów. Nad ranem przyrząd był gotowy .

Tak powstał najpierw dyktofon, a później gramofon.

Edison miał wówczas 30 lat. I ktoś, kto pracuje dla chleba tylko, zatrzymałby się na jego miejscu, powiedziałby: Dość, i spędziłby już resztę życia w spokoju. Ale Edison ani myślał o odpoczynku. Cały swój kapitał włożył w eksperymenty.

Gdy na krótki odpoczynek wyjechał do Kolorado, zapoznał się z prof. Barherem, który rzucił młodemu wynalazcy projekt pracy nad prądem elektrycznym. Sir Humpling Dancy był pierwszym człowiekiem na ziemi, który rozpalił sztuczne słońce — elektryczne.

Zetknął tylko dwa kawałki węgla drzewnego, do których doprowadził prąd. Było to jednak nieekonomiczne. Prąd dostarczono z baterýj, szalenie drogich, szybko się spalających, a światło było oślepiające, na wielką przestrzeń, jak latarnia morska.

I do tej dziedziny zabrał się Edison z właściwą sobie energją i zapałem. Praca trwała dzień i noc. Sypiał sześć godzin na dobę i to na krześle, w pracowni, by być każdej chwili w pogotowiu. Zdołał też skupić dokoła siebie ludzi, jak on chętnych do pracy.

Szukano materjału, któryby świecił, gdy rozgrzany, a nie spalał się. Na pierwszy ogień poszły węgle. Wreszcie wpadł na pomysł rozżarzania włókna w szczelnie zatopionej rurze szklanej do której powietrze nie miałoby dostępu. Próbował wszystkich metali, dokonał 1600 doświadczeń — aż doszedł do zwycięstwa. Przekonał się przedewszystkiem o tem, że powietrze musi być całkowicie wypompowane, potem zaś żarówka świeciła się 40 godzin.

Rok 1879. Prasa doniosła o „świetle na drutach". Publiczność zjeżdża się ze wszystkich stron, by oglądnąć ósmy cud świata.

Po wielu jeszcze eksperymentach i ulepszeniach — powstaje żarówka elektryczna.

Później pracuje nad separatem elektrycznym, oddzielającym rudę od żelaza. Pracował intensywnie do 80 roku życia.

Zakończył swoje znojne życie w roku 1932.

Sam sobie wystawił wielki pomnik, a pomnikiem tym — dzieło, powstałe w przygodnych i stałych warsztatach.

Praktyczni Amerykanie w cyfrach przedstawić chcieli genjusza Edisona. Obliczyli przeto, że inwestycje tych przedsiębiorstw, które oparły swą egzystencję na patentach Edisona przedstawia się 15,599.000.000 dolarów.

A my w nim widzimy genjusza najpracowitszego człowieka na świecie.

Szmuejl.

# Poznajmy się!

## CO SŁYCHAĆ W SZCZUCINIE?

Oddawna nosiliśmy się z zamiarem napisania Wam o naszem życiu, lecz naprawdę nie wiemy od czego zacząć. Gdybyśmy bowiem chcieli o wszystkiem pisać, zabrakłoby miejsca w naszem „Ceirim".

Wzbogaciliśmy nasze życie organizacyjne. Jesteśmy już po pierwszej próbie, którą przeszliśmy jeszcze w Chanuka. Poświęciliśmy również pięknie wyhaftowany sztandarek — nazywamy go proporczykiem.

Ostatnio opowiadał nam nasz Zeew o pięknem życiu na obozie w Woli Mieleckiej. Zatęskniliśmy tak bardzo za takiem życiem, iż postanowiliśmy urządzić sobie jakąś prymitywną komunę.

Jedniego dnia każdy z nas przyniósł coś do lokalu i przy wtórze pieśni spożywaliśmy seudę. Obóz w minjaturze.

A praca idzie naprzód. Przyswajamy sobie język hebrajski i jesteśmy też na wszystkich zbiórkach.

Będziemy do Was często pisać.

Ślemy tą drogą wszystkim Ceirim serdeczne szalom!

Adela M. i Cipora Z.
Szczucin.

## W JAROSŁAWIU

Hallo! Tu mówi Jarosław, zbudzony z długiego letargu... zimowego.

W gnieździe wiele zaszło przez ten czas.

J...k wydalony z organizacji, poszedł do innej. Słowo padło i jak piłka odbiło się w całym Jarosławiu.

Lecz muszę powiedzieć Wam, jak to było. Przecież wiecie dobrze, że „tak długo dzbanek wodę nosi, póki ucho się nie urwie". I oto ucho się urwało. Przekonała się hanhaga, że człowiek ten dłużej w organizacji zostać nie może.

A teraz, wydalony od nas toczy z nami walkę słowną, zarzuca nas argumentami, chce nas pokonać. Dzielnie odpieramy jednak wszystkie ataki jego nowych towarzyszy.

A jednak w gdudzie niema pracy. Więc widać rozpalone twarze... Gorączka...

Wy Ceirim myślicie sobie: Łamagi, niezdary! Zrozumcie jednak, że to starszy chłopiec i... „kuty".

Nie bójcie się! Daliśmy sobie doskonałe radę. Silni pozostali, — słabi powrócili, najsłabsi sobie poszli.

— Daj im Boże, by zmądrzeli.

Wreszcie przyjeżdża R. z Leopoldynowa. Zabiera się do pracy, wzmacnia nas na duchu, dodaje sił i otuchy do dalszej pracy i... walki.

My już chyba nigdy stąd nie pójdziemy.

Czujemy, że na nas opiera się przyszłość naszego gniazda.

Zewa z kwucy Ziwanit
Jarosław.

---

Wydawca: Związek Skautowej Młodzieży Żydowskiej w Krakowie
Redaktor odpowiedzialny: Ignacy Nichthauser
Drukarnia Pospieszna w Krakowie, ul. Karmelicka 34 pod zarz. A. Lehrhafta.